

Józef Lewandowski  
**ARCHEOLOGIA NIEPAMIĘCI**  
MIDRASZ 4 (108) 2006

NIE PAMIĘTAM, KIEDY PO RAZ PIERWSZY i gdzie zobaczyłem zdjęcie Icchaka Cukiermana, legendarnego przywódcy oporu w warszawskim getcie, chyba było to około dziesięciu lat temu. Pamiętam natomiast moje wrażenie. Twarz, czupryna, spojrzenie, postawa nasuwały przypuszczenie, że ja go już widziałem i to nie na fotografii. Wrażenie wrażeniem, ale nie potrafiłem sobie uzmysłowić kiedy i w jakich okolicznościach to było. Cukierman pochodził z Wilna, działał w Warszawie, ja zaś pochodzę z zachodu Polski, z Konina a wojnę spędziłem w ZSSR. Czy aby nie padam ofiarą urojenia, częstego u ludzi ocalałych z Zagłady, próbujących sztukować przerwane nici pokrewieństwa i znajomości, doświadczyłem tego kilkakrotnie.

A jednak... Gdy dotarły do mnie wspomnienia Cukiermana i zaczęłem je czytać, strona po stronie, wrażenie potwierdziło się. Cukierman pisze, że w 1935. przebywał w moim mieście Koninie, gdzie spędziłem 16 lat mojego przedwojennego życia. Jasne, poznałem go tam i wówczas.

Było to tak: bodajże w 1934. w Koninie powstała "hachszara", zgrupowanie młodych ludzi z młodzieżowej organizacji Hechaluc, pragnących wyjechać do Palestyny by tam wstąpić do kibuców, hachszara miała ich do tego przygotować. Mieściła się na ulicy Kolskiej. Uczestnicy pochodzili z poza Konina, o ile dobrze pamiętam, wyłącznie z wschodu państwa. Zaprzyjaźniona kibuczniczka Bajła była np. córką aptekarzy z Równego. Skład był zmienny, młodzi ludzie dołączali lub wyjeżdżali, zawsze więc przebywało tam około dziesiątka chłopców i dziewcząt. Żywili kult pracy fizycznej, ale wymarzonej pracy nie było, w miasteczku panowało duże bezrobocie i dotkliwa bieda. Nie mając zatrudnienia, odmawiając przyjęcia pomocy od rodzin, kandydaci na kibucników z reguły niedojadali, a czasem wręcz głodowali.

Często do nich zachodziłem, sam lub z rodzicami czy kolegami. Fascynowała ich ideowość i wyrzeczenie się ambicji. Wiedziałem - wówczas dwunastoletni - że ja bym tak nie potrafił, poświęcić wszystkiego w imię wówczas abstrakcyjnej idei państwa żydowskiego. Widziano nas chętnie, pamiętam, że dużo czasu spędziłem tam nad deską szachową - byłem dzieckiem, ale grałem niezłe i nie bałem się starszych ode mnie przeciwników.

Nie pamiętam już większości wówczas poznanych twarzy, minęło 70 lat, ale pomijając już wymienioną Bajłę, zapamiętałem jednego chłopca. Icyk był znacznie wyższy od innych, był też od nich głośniejszy. Do dziś dźwięczy mi w uszach piosenka w jydysz, chyba tam ułożona, śpiewana na nutę "bałałajki". O tym, że w poniedziałek i wtorek tłuczą kamienie na budowie szosy, resztę tygodnia bolą ich kości.

Formalnie hachszara nie miała kierownika, takie były założenia, ale widać było, że Icyk odgrywa tam szczególną, choć nieformalną rolę. W każdej chyba sprawie pozostali zwracali się do niego, pytając co sądzi i jak postąpić. Icyka - teraz wiem, że nosił nazwisko Cukierman - zapamiętałem jako przywódcę, takiego, który zawsze w sposób niekwestionowany wysuwa się na czoło.

O Koninie Cukierman nie napisał wiele, ledwo dostrzegalne wzmianki. Nawet się zirykowałem przeczytawszy, że w Koninie działała do wojny prężna organizacja Haszomer Hacair. Znałem wszystkie powiązania, ale ta organizacja jednak tu w ogóle nie istniała. Owszem, w pobliskim Kaliszu, ale nie u nas. Czytając angielskie wydanie jednak zorientowałem się, że Cukiermana nie zawiodła pamięć, to tłumaczka popełniła błąd - Cukierman pisze bowiem wyraźnie o Hechalucu, rzeczywiście bardzo rozbudowanym, wręcz dominującym w życiu publicznym Żydów Konina..

Cukierman pisze z lekką ironią o swoistym, gdzieindziej przezeń nie napotkanym dialekcie języka żydowskiego. Coś było na rzeczy, choć jidysz w Koninie nie różnił się zbyt od języka używanego w zachodniej połaci Polski, w pobliskim Kaliszu, czy niedalekiej ,odzi. Dla nas egzotyczny,ba, nawet zabawny, był natomiast żydowski w wydaniu Cukiermana i jego kolegów z Kolskiej, wcześniej nie zetknęłem z wymową t.zw. "litwaków".

To są jednak drobiazgi, po Zagładzie, a również po zaniku języka jidisz, nieaktualne, przebrzmiałe, wygasłe. A zapamiętałem wysokiego, przystojnego, dziarskiego Cukiermana nie z racji wymowy, z którą później się otrząsałem, ale w związku ze szczególnym wydarzeniem.

Warto o tym skreślić parę słów. Jak wiadomo, tuż po śmierci marsz. Piłsudskiego (maj 1935) nastąpiło ożywienie Stronnictwa Narodowego, czującego "ducha epoki" płynącego z Niemiec. Miejscowa organizacja SN, dotychczas niemrawa, zaczęła dziarsko poczynać. W miasteczku zaczęto mówić o szykującym się pogromie. Tego nam tylko było potrzeba... Nie dość było biedy, braku pracy, dyskryminacji, trzeba było jeszcze i pogromu...

I wtedy zaczęło się coś dziać wśród na ogół zastrachanych Żydów. Ulicami Konina przemaszował kilkakrotnie oddział młodych Żydów, haluców i członków Hachszary. Było ich niewielu, chyba sześć czwórek, nieco ponad 20 osób. Każdy miał na ramieniu łom, siekiere, a przynajmniej łopatę lub drąg. Maszerowali składowo i donośnie śpiewali - i to pamiętam - pieśń żydowskiej organizacji sportowej "Hapoel" - przemarsz był pokazem na codzień niezbyt aktywnej organizacji. Wówczas, w 1935 roku znałem chyba wszystkich uczestników tej manifestacji, ale po latach w pamięci zostali tylko dwaj, Icchak Cukierman na prawym skrzydle pierwszej czwórki i Motek Mysz, też w pierwszej czwórce. (O Motku nie piszę, zrobił to możliwie wyczerpująco Theo Richmond, o którym za chwilę). Rwałem się, by dołączyć się do pochodu, ale rodzice mnie powstrzymali. "Mało ostatnio rozrabiałeś?" powiedzieli przytomnie.

Pogromu nie było, choć w niektórych przekazach figuruje jako coś spełnionego. Może odniósł skutek ów wieczorny, bojowy przemarsz, który przekonał gorliwych "narodowców", że będą mieli do czynienia z pewnymi trudnościami.

Odbył się natomiast inny pogrom. Urażony brakiem szacunku "narodowców" dla pamięci Marszałka komendant garnizonu, ppłk Fijałkowski, delegował oddział miejscowej szkoły podoficerskiej. Młodzi adepci wojskowości ochoczo zdemolowali lokal Stronnictwa Narodowego, mieszczący się w parterowym budynku przy ulicy Zielonej. Nigdy się nie dowiemy, czy zacnym oficerem kierowało rzeczywiste oburzenie za brak czci dla Zmarłego, czy też chęć zapobieżenia rozruchom. Nie wiemy też, czy działał na własną rękę czy w porozumieniu z innymi władzami.

Wiedza o Cukiermanie i konińskim epizodzie jego życia dotarła do mnie zbyt późno. W 1974 roku, gdy byłem w Izraelu, jeszcze żył i wiele mogliśmy sobie opowiedzieć. Namawiano mnie wtedy, bym odwiedził kibuc Lochemej Hagetaot, przezeń założony, ale spotykałem wówczas tylu krewnych, że nie miałem czasu na dodatkową eskapadę. Dziś Icchak nie żyje. Wielu historyków zaczyna przegląd codziennej prasy od nekrologów, by zobaczyć, jak historia im ucieka. Mnie historia umiera wielokrotnie.

\* \* \*

DO PAMIĘTNIKÓW CUKIERMANA sięgnęłem nie ze względu na ich autora. Szukałem. Od lat zbieram jakie tylko można napotkać wzmianki dwóch osobach, pochodzących z Konina, a które odegrały znaczącą rolę w Powstaniu w Getcie w Warszawie.

Jedna z nich to dr Michał Strykowski, przywódca Żydowskiego Związku Wojskowego (ŻZW), prawicowego, "rewizjonistycznego" ugrupowania powstańczego, skupionego w budynku na ulicy Muranowskiej 7. O Strykowskim słyszałem od dawna i pamiętam, że za każdym razem zastanawiałem się, czy to nie aby jeden ze Strykowskich z Konina, z ulicy 3-go maja, ze sklepu z żelazem. Pytanie długi czas pozostawało bez odpowiedzi, bo o ludziach ŻZW wiadomo jeszcze mniej niż o innych powstańcach żydowskich. Odpowiedź była bliższa niż przypuszczałem. Theo Richmond, pisarz, autor monografii Konin dotarł do mieszkającego w Izraelu Natana Strykowskiego, brata Michała. Natan spędził wojnę w ZSSR, ale potwierdził, to jego brat Michał był w Powstaniu w Getcie. Mimochodem Natan wyjaśnił, że brat był lekarzem weterynarii, a nie, jak podają opracowania, lekarzem medecyny.

Przypominam sobie Michała Strykowskiego. Pamiętam, że widywałem go sporadycznie. Był średniego wzrostu, szatyn, bez wyraźnych cech, określanych jako "żydowskie", kilkanaście lat ode mnie starszy. Nie stykałem się z nim towarzysko, choć dobrze znałem jego ojca i jego brata, Natana, starego wówczas kawalera, również o kilkanaście lat ode mnie starszego.

O Strykowskich. Mieszkali we własnym domu przy 3-go maja, niedaleko magistratu. Ojciec miał dawniej sklep z żelazem, czyli gwoździe, śruby, nity, blachy, proste narzędzia i td. Matka od dawna nie żyła, ojciec - jak długo pamiętam - był wdowcem. Dał dzieciom wykształcenie, ale zrujnował się, dom był hipotecznie zadłużony a sklep przejął dawny subiekt Strykowskich.

(Z tym wykształceniem były duże kłopoty. Pomijam antysemityzm na uczelniach, kastety, pałki, żyłki, ten temat ma dużą, przejmująco smutną literaturę. Chodzi mi o zagadnienie prozaiczne. Wykształcenie kosztowało. Czesne na uniwersytecie wynosiło 550 złotych, duży wydatek. A przecież trzeba było jeść, wdziąć coś na siebie, gdzieś, no nie powiem, mieszkać, ale mieć kąt do spania. Młodzi ludzie kombinowali. Absolwent trzech fakultetów, utalentowany historyk dr Michał Ajzen (Hanecki) był księgowym w kilku małych firmach, Jankiel Jurkiewicz utrzymywał się z korepetycji, podobnie Hanka Nasielska, drowi Kawie pomagała rodzina żony, Lewenbergowie. I tak dalej. Na pewno więc stary Strykowski zrujnował się na studia synów, ale wątpię, by i tego wystarczyło, chyba musieli kombinować, by związać koniec z końcem.

I jeszcze jedno: nie wiem, gdzie studiował Michał Strykowski. W późnych latach 30-ych na weterynarii warszawskiej panował numerus nullus, wydział ten był "Judenrein" - profesor anatomii, nie pamiętam nazwiska, lojalnie uprzedzał kandydatów, że żaden Żyd nie zda u niego egzaminu).

Natan - a dla mnie Natek - ukończył prawo w Warszawie, ale nie pracował w zawodzie. Nie było go stać na aplikaturę, a do służby państwowej czy samorządowej Żydów nie przyjmowano. W Koninie nie było urzędników-Żydów (wyjątkiem były 2 nauczycielki w żydowskiej szkole). Natek zarabiał na życie jako subiekt w sklepie dawniej należącym do jego ojca.

Odwaznianie gwoździ nie zaspokajało jego potrzeby działania. W dni powszednie między 12-ą a 14-ą stał za okratowanym okienkiem w - pozał się Boże - żydowskim banku spółdzielczym na Zamkowej 3, a wieczorem po 19-ej urzędował w żydowskiej bibliotece społecznej. Zdarzało się, że rano kupowałem u niego pół kilo gwoździ tapicerskich, później, w zastępstwie ojca wykupywałem weksel w banku, a wieczorami spotykałem go w bibliotece. Sporządzał katalog, doradzał czytelnikom, kompletował księgozbiór.

Żydowska biblioteka w Koninie, nasza duma, liczyła 10 tysięcy tomów, głównie w języku polskim, ale i w żydowskim, a również nieco hebrajskich. Była też najpowszechniejszą żydowską organizacją - do biblioteki należało 200 członków, co trzecia żydowska rodzina. Nie miała żadnych subwencji, utrzymywała się z groszowych składek członkowskich, a jednak miała doskonały zestaw beletrystyki aktualizowanej z dużym poczuciem smaku.

Książki były drogie, a trzeba było i opłacić komorne, opał i oświetlenie. Z miejscowych księgarni Kuli czy Wesołka, proponujących głównie katolickie dewocjonaalia, pożytku nie było, książki kupowano w Warszawie. Rozwiązanie było proste. Brat Natka, właśnie ów Michał Strykowski kupował książki na przecenach. Po latach nie mogę oprzeć się zdumieniu, gdy przypominam sobie z jakim smakiem kompletował księgozbiór. Dzięki jego wrażliwości i wiedzy mieliśmy w Koninie nowości literatury polskiej jak i tłumaczenia z francuskiego, niemieckiego, angielskiego. Co ciekawe: bez ideologicznych uprzedzeń. Bo nawet mieliśmy publikacje Celiné'a i Nowaczyńskiego, jak wiadomo - wrogie Żydom.

Wracając do Natka: praca w sklepie była dlań źródłem utrzymania, pozostałe zajęcia były honorowe - Natek był społecznikiem z urodzenia i takim, pisze Richmond, do końca życia pozostał. I żeby nie zapomnieć: był przywódcą miejscowych rewizjonistów i z tego tytułu czasem widziałem go w bojowym, brązowym uniformie. W istocie rzeczy w społecznikowskim zapale nie

wiele różnił się od miejscowych działaczy chalucowych czy bundowców. Podziały, przynajmniej w moim mieście, były w dużej mierze towarzysko-klubowe. Rewizjoniści z zasady byli wykształceni, należeli do patrycjatu i często tak akulturowani, że tylko po przesadnie dobrej polszczyźnie można była dostrzec ich żydowskość. Chaluce wywodzili się z plebsu bądź udawali plebejskość i byli bardziej zakotwiczeni w kulturze żydowskiej.

Najwięcej konwersowałem z Natkiem w 1938 roku, gdy już byłem podrostkiem a dr Michał Ajzen zorganizował kurs księgowości dla miejscowych inteligentów, do których i mnie łaskawie zaliczono. Na kursie dużo skorzystałem, ale chyba Natkowi nie bardzo był potrzebny. Ale owszem, równie starannie jak inni wypełniał ćwiczebne arkusze podwójnej księgowości i "amerykanki".

Natek - jak piszę - wojnę przeżył w ZSSR a po wojnie wyjechał do Izraela, gdzie pracował w urzędzie celnym i przewodniczył w konińskim ziomkostwie jak długo tam istniało. Zmarł, nim zdążyłem się zorientować, kto kryje się pod dziwnym dla mnie nazwiskiem Ahikam.

Michał, Natek. Obaj byli równie wytworem jak i kwiatem miasteczka, każdy godny jest monografii. Przecież na temat tego społeczeństwa krąży tyle uproszczeń, mitów i kłamstw! Nic o nich chyba nie powstanie. Źródła zostały zniszczone, tak jak i ludzie, nie zachowały się żadne archiwa bujnego kwiatu organizacji żydowskich. Nie ma też tych, którzy mogliby o nich sensownie napisać. Kamienie rzucone nawet nie na szaniec, ale po prostu w wodę. Oto dlaczego się rozpisałem.

\* \* \*

BARDZIEJ JESZCZE INTRYGUJE MNIE OSOBA, by wręcz nie powiedzieć postać, urodzonej i wyrosłej w Koninie Frani Beatus. Jest pamiętana, ale nieznaną. Wspominają ją niemal wszystkie opracowania Powstania w Getcie Warszawskim, ale mało kto ją widział, a ci, co wówczas znali, chyba już nie żyją.

O Frani zachowały się skąpe wzmianki. Niemal wszystko, co o niej wiadomo pochodzi od Cukiermana. Bojownicy Getta byli ludźmi fascynującymi, ale Frania nawet w tym gronie wyróżniała się, Cukierman o mało kim pisze z takim sentymentem, jak o Frani, był nią oczarowany. Oto skrót jego notatek: Miała "może 16 czy 17 lat". (W rzeczywistości, jak piszę dalej, była o dwa lata starsza). Po wysiedleniu Żydów z Konina znalazła się w Ostrowcu świętokrzyskim, gdzie przyłączyła się do organizacji młodzieży syjonistycznej "Dror". Wstąpiła również do tamtejszej grupy Żydowskiej Organizacji Bojowej. Grupa nie miała broni, była skazana na beczynność. Przeniesiono ją do Warszawy.

(Odnajmy, że źródła jakimi dysponuję, informują o ostrowieckiej ŻOB jedynie przy wzmiankach o Frani. Nie wiem więc, kto do grupy należał, czy tylko młodzi ludzie z Ostrowca, czy też z innych miejscowości, tak jak Frania stłoczonych tu przez Niemców. Nie wiemy nawet, czy jej członkowie walczyli w Powstaniu i jak potoczyły się ich losy. Widocznie dużej roli nie odegrali, ale są to tylko przypuszczenia. Nie wykluczam, że po prostu, jako przybysze, byli nieznanymi autorom relacji o ŻOB i Powstaniu).

Frانيا dotarła do Warszawy - odnotowała Anka Grupańska - 11 października 1942. Wracała jednak do Ostrowca kilkakrotnie, by wywieźć do Warszawy bojowców. "Niska, pyzata, hoża, wiejska dziewczyna z grubym lnianym warkoczem. Wyglądała bardzo młodo, na nie więcej niż 14 lat. Dobrze mówiła po polsku" (co w Koninie było jeśli nie powszechne, to przynajmniej częste). I była odważna. Te walory spowodowały, że na początku 1943 wysłano ją na "aryjską stronę", jako łączniczkę między gettem a światem zewnętrznym. "Pragnąc wyglądać doroślejszą Frania chodziła na wysokich obcasach i nosiła poważną damską torebkę. Nie mogłem nie uśmiechnąć (podczas spotkania 13 kwietnia 1943) się na jej widok. Byłem sporo od niej starszy i miałem do niej nieco

ojcowski stosunek" (Cukierman). Frania organizowała kontakt Cukiermana z walczącym gettem, z PPR, AL, z AK a również żydowskimi działaczami, zamelinowanymi poza gettem. Przeprowadzała ludzi w obie strony, organizowała kryjówki, przenosiła pocztę. "Odbierała nocne telefony z getta i rano biegła do Antka, by mu przekazać informacje" (Grupińska). Żyła i działała w ciężkim stresie.

Po wybuchu Powstania 19 kwietnia 1943, świadoma nadciągającej rzezi, Frania się załamała. Cukierman sądzi, że były również powody osobiste: "... miała chłopaka (w Ostrowcu), nazywał się Dawid Szulman. Frania nie wiedziała, czy Dawid żyje, czy zginął. (...) Możliwe jednak, że myłę go z kimś innym". Do tego "innego" wróć dalej.

Po tym załamaniu Frania się otrząsnęła, na tyle, by nadal działać. Trwało to niespełna trzy tygodnie. "10 maja - pisze Cukierman - miałem spotkać się ze swoją główną łączniczką, Franią Beatus, ale nie zjawiała się na spotkanie". Okazało się, że zostawiła list i rozliczenie powierzonych jej pieniędzy. Napisała, że po uratowaniu ludzi, czyli wyprowadzeniu resztek powstanców z getta, gdy spełniła już swą misję, postanowiła popełnić samobójstwo. Nie wiadomo jak to zrobiła, ciała jej nie znaleziono, zresztą, w warunkach okupacyjnych poszukiwania byłyby absurdalne. (Zainteresowany czytelnik znajdzie jeszcze nieco szczegółów u Cukiermana, tu pomijam je dla przejrzystości wykładu).

\* \* \*

STARALEM SIĘ PRZYPOMNIEĆ FRANIĘ i ulokować na planie miejscowości. Miałem dwóch przyjaciół Beatusów, moich rów nolegatków, ale ci nie mieli żadnej siostry. Szukałem więc dalej. Sięgnęłem do wydanej w 1968. w Izraelu Sefer kechilot Konin. Okazało się, że w mieście było 9 rodzin Beatusów, wymordowanych przez Niemców. Wykaz rodzin bez imion, bez adresów, nie dawał możliwości identyfikacyjnej. A autorzy książki - zdaje się - o Frani nie wiedzieli, działała poza konińską społecznością. Nie wiele wiedział o niej znawca żydowskiego Konina, mój przyjaciel Theo Richmond (Uporeczywe Echo. Sztetl Konin. Poszukiwania. Poznań 2001), odnotował tylko przekaz Cukiermana. Szukałem dalej. W izraelskim instytucie Yad Vashem nie znaleziono o niej niczego, czego bym już nie wiedział, nic nie dowiedziałem się też o ostrowieckiej ŻOB.

Na dobre zidentyfikowałem Franię, gdy przeczytałem, że jej rodzice mieli w Koninie mydlarnię. Nie, nie chodzi o wytwórnnię mydła, takiej w Koninie od lat nie było, był natomiast duży sklep spożywczy Beatusów przy placu Zamkowym, specjalizujący się w mydle, właśnie do nich posyłano mnie, bym kupił ten artykuł do prania lub higieny. Beatusowie mieli duży asortyment, u nich można było kupić Schicht z jeleniem, proszek Persil, ewentualnie płatki mydlane do wełny. I ceny mieli o jakieś grosze niższe. Sklep był swego rodzaju hurtownią dla sklepów spożywczych.

Przypomniałem sobie rodzinę. Rodziców pamiętam niezbyt wyraźnie, widocznie rzadko się z nimi kontaktowałem. Natomiast mam wyraźnie przed oczyma jej braci, stojących za kontuarem (a raczej kontuarami) sklepu. Dwudziestoletni, nie wiele więc starsi ode mnie. Było ich trzech, średniego wzrostu, zgrabni, szatyni. Jak i Frania nie mieli cech określanych jako semickie. Rzeczowi, małowolni. Rodzina chasydzka, ale bez ostentacji. Bracia uczęszczali nie do chasydzkiej bóżnicy, ale na Ogrodową, gdzie zbierali się członkowie młodochasydzkich organizacji, ostrzyżeni, bez jedwabnych chałatów, bród, pejsów. Mówili dobrą polszczyzną, nie stanowiąc - powtarzam - wyjątku w miasteczku.

Oto najważniejsze wiadomości o Frani. Z metryki wynika, że urodziła się 10 stycznia 1925., czyli miała w 1943 roku nie czternaście a osiemnaście lat. Rodzicami byli Mojżesz Beatus i Tauba z domu Binsztok. (Rzeczywiście, sklep i mieszkanie Beatusów mieściły się w domu Binsztoków). Jej metrykalne imię to Frymeta, ale w gimnazjum konińskim, gdzie została w 1937. przyjęta do 1 klasy figurowała jako Fryneta. Do wojny więc skończyła dwie klasy. Została z Konina, jak

większość Żydów, deportowana przez Niemców w październiku 1939. do Ostrowca Świętokrzyskiego.

Frania tkwi w zakamarkach pamięci nieco inaczej niż opisana przez Cukiermana. Widziałem ją po raz ostatni w 1939., Cukierman pisze o niej znał ją w 1943, cztery lata w życiu dziewczyny to dużo, zwłaszcza w czas wojny i Zagłady. A więc nie pyzata, ale drobna, szczupła Frynka. Zawsze - dobrze pamiętam - z przekornym uśmiechem na twarzy. Była dowcipna ale nie pamiętam by była złośliwa. Na jasnej buzi kilka piegów. Ostatnimi laty odziana w granatowy szkolny mundur z niebieską tarczą na lewym ramieniu sprawiała wrażenie wzorowej uczennicy. Mimo niewielkiej różnicy wieku nie należała do grona moich kolegów i koleżanek. Może dlatego, że była młodsza, ale jakąś rolę miało i to, że uczyła się, ja zaś tkwiłem w środowisku pozbawionych szans, nawpół bezrobotnych obiboków.

Rodzina dziewczynki była zamożna, stać ją było na gimnazjum. Czesne i tu wynosiło 550 złotych, wydatek skutecznie hamujący żydowskie i nie-żydowskie dążenia do oświaty i emancypacji. Ponieważ te liczby mało są już zrozumiałe, to dodam, że woźny magistracki zarabiał 50 zł. miesięcznie, a funkcjonariusz Kasy Skarbowej złotych 90. O ile jednak Polacy, zwłaszcza urzędnicy korzystali z ulg, to Żydom ich nie przyznawano. Wysokość czesnego była tak ustalona, by hamować żydowski pęd do oświaty.

Wracając do Beatusów, to zaznaczmy, że posyłanie dziewczynki do gimnazjum, i to polskiego, świadczyło o wyłamywaniu się z chasydyzmu wrogiego świeckiej nauce. Przypominam, że Frania w czasie wojny wstąpiła do socjalistycznego, świeckiego Droru.

I jeszcze jedno. Strykowski i Beatusowie co prawda mieszkali przy różnych ulicach, ale ich domy były połączone wspólnym podwórzem. Na pewno w Koninie wiedzieli o sobie. Wątpię, by spotkali się w warszawskim getcie. Tu podziały - jak wyżej piszę - klubowe spowodowały niemożność znalezienia wspólnego języka. "Różnić się - pisze Cukierman - to my potrafiliśmy". I rzeczywiście!

\* \* \*

JAK PISZĘ, PO UPADKU POWSTANIA Frania nie wytrzymała beznadziejnej sytuacji. 10 maja 1943 odebrała sobie życie. Nie ona jedna, jej samobójstwo było dwa dni wcześniej (8 maja) poprzedzone takim samym aktem dowództwa Powstania, z Mordechajem Anielewiczem na czele. Gdy wszyscy dokoła zginęli, żyć nie było warto. Zresztą, nawet przy najlepszym "wyglądzie", nawet z najlepszymi papierami, życie wcale nie było pewne, śmierć czyhała na każdym kroku. (Nawiasem mówiąc, nie wiemy, czy w chwili samobójstwa rodzina jej jeszcze żyła, zwłaszcza bracia, czy Frania nie była już samotnym kikutem dawnej rodziny. Co też ważne, a o czym źródła milczą).

Skoro działanie jest bezskuteczne, a śmierć jest nieunikniona, to upieranie się przy życiu staje się bezsensowne. Gdy nie starcza woli życia, to czy nie mądrzej samemu wybrać śmierci czas i formę? W tym czasie dla wielu, Żydów i Polaków, tabletki niezwiędłego cjanku potasu miała ogromną, czasem nawet największą wartość, pozwalała decydować o własnym życiu i śmierci. Co w owym czasie i owych warunkach było może nawet największym luksusem

Gdy Powstanie upadło, pozostawała walka o przeżycie, a to widocznie było zbyt małą stawką dla Frani. Próbuję wczuć się w jej tok myślenia, przychodzi mi to łatwo, w owym czasie były to myśli i odczucia bliskie wielu ludziom.

Wgłębiając się w to, co potrafiłem zebrać o dziewczynie, zwróciłem uwagę na kilka szczegółów. Cukierman pisze, że załamanie się nerwowe Frani i jej samobójstwo miało również osobistą przyczynę. Przypominam: "Frania miała chłopaka, nazywał się Dawid Szulman. Frania nie wiedziała, czy Dawid zginął, czy żyje. Dawid pochodził z Ostrowca i miał chyba obce obywatelstwo, ale spalił swe dokumenty, przyłączył się do ŻOB-u i odmówił opuszczenia getta". O chłopaku pisze również Grupińska, podaje nieco innych danych o nim: "Dawid mieszkał w Warszawie. Tuż przed wojną zaczął się uczyć zawodu w ostrowieckim kibucu (...) Zdaje się, że

był tym chłopakiem, na którego czekała Frania za murami getta. Zginął w czasie powstania, miał 18 lat". Czyżby Szulman opuścił Ostrowiec i dołączył do Powstania?

Frani wyczekiwanie zaczęło mi się nieco inaczej kojarzyć. W getcie ostrowieckim znajdowali się bliscy mi ludzie. Znalazli się tam wszyscy moi konińscy krewni - żaden z nich nie ocalał. W getcie tam znaleźli się również przyjaciele i koledzy mojego dzieciństwa, nikt z nich też nie uszedł z życiem.

Sam byłem poza Zagładą, wróciłem do Polski jesienią 1944. Po wojnie szukałem bliskich i ich śladów. W grudniu 1945 w Łodzi spotkałem Józefa Hampla, ojca Srukla, mego najbliższego przyjaciela zamordowanego dzieciństwa. Długa, tragiczna rozmowa. Cała rodzina Hamplów była deportowana do Ostrowca. Hampłowie byli 'bundowcami', należeli do partii socjalistycznej, wyznającej dogmat Polski jako kraju ojczystego. Srulek przed wojną był działaczem 'Cukunftu', młodzieżowej organizacji Bundu. W Ostrowcu prostolinijny, odważny Srulek konspirował, ale nie zwierzał się rodzinie ze swoich powiązań a Hampel nie ich dociekał. A może wiedział i mógłby mi coś powiedzieć, tylko że ja, przytłoczony tragedią bezradnego ojca i swoją własną, nie potrafiłem go zapytać o te, teraz dla mnie ważne sprawy. Hampel opowiadał mi wówczas o losach wielu rodzin, o Beatusach nie wspominał.

Opowiadał mi głównie o rodzinie i przede wszystkim o Sruklu. Na Wielkanoc 1943 do Ostrowca dotarła wieść o wybuchu Powstania w Getcie Warszawskim Srulek zakomunikował ojcu, że wyrusza, by wziąć w nim udział.

- *Musisz?*

- *Tato, ja muszę.*

Pamiętam jak dziś każde, wówczas wypowiedziane słowo Hampla. Stary działacz nie miał wątpliwości. Schował głowę w dłoń:

- *Jeśli musisz, to idź, ja ciebie rozumiem!*

Hampel opowiedział mi jeszcze to, że Srulek miał rewolwer czy pistolet i wziął go ze sobą w drogę.

Nie wiem, czy Srulek na swoją wojnę z Hitlerem wyruszył sam, czy w towarzystwie - to, że należał do ostrowieckiego ŻOB-u nie ulega dla mnie wątpliwości, ŻOB skupiał bundowców i lewicę syjonistów. Wyruszył wspólnie albo w porozumieniu z Dawidem Szulmanem? Sądząc ze szczupłych wzmianek Dawid już wcześniej był w Warszawie. Do Powstania Srulek nie dotarł. Jak i gdzie zginął Dawid?. Srulek zginął gdzieś po drodze, świadomie idący na stracenie bojownik. Tak jak żołnierze Getta. Złapali go Niemcy na stacji w Ostrowcu, w pociągu, w Warszawie? A może zauważyli go szmalcownicy i wydali Niemcom? W odróżnieniu od Frani i Beatusów mój przyjaciel miał zdradzające go rysy semickie. Nie wiadomo, zdołał zrobić użytek z rewolweru, czy zginął nie oddawszy strzału.

Składając na nowo stare, już zmurszałe cegiełki przeszłości, fascynującej i ponurej, zastanawiam się nad równoległością ludzkich losów. Srulek mieszkał w Koninie nie dalej niż 30 metrów od Frani, dwa domy od placu Zamkowego. Byli sąsiadami, znali się, to jasne! Srulek więc był jednym z tych, na przyjazd których beznadziejnie czekała Frania. A może to on właśnie był tym głównym oczekiwanym? Nie wiem, ale nie wykluczam, może tak, może nie...

Rozważania spóźnione. Czy mają jakiś sens? Nie wiem. Na pewno ludzie, o których piszę, warci byli lepszemu losu niż ten, który ich spotkał, ale to samo można powiedzieć i o innych zamordowanych. Oboje byli ludźmi po których Historia depcze nie pytając o sens ich życia i poświęcenia. W tym też nie byli wyjątkowi. Jakie ma to znaczenie to, czy Frania czekała na Dawida, czy na Srukla? I że w ogóle na kogoś czekała? Że w ogóle żyła, działała jakaś żydowska dziewczyna z Konina o długim warkoczem jasnych włosów? Że mieszkała przy placu Zamkowym, a nie, powiedzmy, na Kaliskiej? A to, że rodzice mieli sklep a nie warsztat krawiecki? Jaka wartość ma wspomnienie o Sruklu z ulicy Targowej, tuż koło placu Zamkowego, który chciał walczyć, ale

zginął nadaremnie, nie spełniwszy pragnienia? Przyczynek do przyczynku? Czy ma sens upominać się o pamięć historii dla dwóch osób, skoro zamordowano miliony? Dwie osoby, to przecież mniej niż promil promila owych rzek rozlanej krwi... Ale dla mnie oboje są wzorem postępowania godnego w czasach tak podłych, w jakich im przyszło żyć i ginąć. Przecież zarówno Frania jak i Srulek mogli szukać schronienia i przetrwania, w przypadku Frani, z jej wyglądem słowiańskim i zaradnością przeżycie wydawało się nawet prawdopodobne. Być może i Srulek mógłby jakoś przetrwać okupacyjną gehennę, co - przypomnijmy - udało się jego ojcu. Tylko że ona i on cenili ludzką godność wyżej niż własne życie. Czego dowiedli działaniem.

Piszę te słowa, gdy od Zagłady minęło już 60 lat. Ludzie, o których piszę, zniknęli jak kręgi na wodzie, Kamil Krzysztof Baczyński już w toku Zagłady, latem 1943, zdawał sobie sprawę, że kolejne deszcze zmywają pamięć o zamordowanych, że jeszcze niedawno tu mieszkający polscy Żydzi giną w już narastającej niepamięci, w najlepszym wypadku przekształcają się w materiał poetycki czy etnograficzny. Nie łudźmy się, tak było i jest. Nie ma przecież nikogo, nawet w ich rodzinnym mieście, kto by pamiętał a tym bardziej nosił w sercu osoby o których tu się rozpisuję. Nie potrafię jednak przestać myśleć o nieznanym mi, konińskiej rodaczce, młodziutkiej, bohaterskiej i tragicznej Frani Beatus i moim, nie wiele od niej starszym przyjacielu, równie tragicznym i bohaterskim Izraelu Hamplu. Nie poradzę. Oboje żyją we mnie. Są moim szkłem bolesnym. Piszę to niezdarne wspomnienie, bo może uda mi się w jakiś sposób ocalić pamięć o Nich? Chcę podać dalej ich zza grobu przesłanie!

Zza grobu? Oni przecież nawet grobu nie mają!

#### KORZYSTAŁEM Z PUBLIKACJI:

*Sefer kehilot Konin. Memorial Book KONIN.* Tel-Aviv 1968

Icehak Cukierman "Antek". *Nadmiar pamięci.* Warszawa 2000, s. 114

Anka Grupińska. *Ciągle po kole. Rozmowy z żołnierzami Getta Warszawskiego.* Warszawa 2000

Anka Grupińska. Miłość w getcie. *Rzeczpospolita* 2004.04.18 (wersja internetowa)

Theo Richmond. *Uporczywe Echo. Konin.* Poznań 2001

O Izraelu (Srulku) Hamplu i jego rodzinie piszę obszerniej w: *Moja Atlantyda.* Wyd. II. Konin 1996

Inż. Krzysztof Rzeźniowiecki z Warszawy przekazał mi księgę pamiątkową konińskiego gimnazjum z 1937, z informacją o Frynecie Beatus.

Urzednicy Stanu Cywilnego w Koninie odnaleźli metrykę urodzenia Frymety Beatus wraz z danymi jej rodziców. Pomógł mi w tym Andrzej Moś

Prof Yaakov Lew pomagał mi w poszukiwaniach na terenie Izraela.